ROK 51. KRAKÓW, DNIA 20. PAŹDZIERNIKA 1919. Nr. 44

DJABEŁ



Prenumeratę, listy, artykuły należy nadsyłać pod adresem
WYDAWNICTWO
TYGODNIKA „DJABEŁ"
WŁADYSŁAW BORKOWSKI,
Kraków, ul. Niecała 4.
Cena egzempl. 2 Kor.

prenumerata w Krakowie i na Prowincyi wraz z przes. poczt.:
całorocznie . . . . K 80·—
półrocznie . . . . . „ 40·—
kwartalnie . . . . . „ 20·—
Cena egzempl. 2 Kor.

WYCHODZI CO SOBOTĘ

TYGODNIK SATYRYCZNO-HUMORYSTYCZNY, ILUSTROWANY.

W OBLICZU ŻŁOBU.

Łotrem Witos nazywał Stapińskiego Jana,
Zdrajcą ludu Stapiński nazywał Witosa.
Dziś się te „piękne dusze" łączą. Skąd ta zmiana?
Czy dla dobra ojczyzny, czy... miłego trzosa?

WICEK SOCJALIK.



Naradzały sie psiokrew krakowskie szmaciarze czy knajać czy nie knajać na on zjazd dziennikarski do jakijś ci tam psiokrew Jugoslawji, która dopiru co się ulągła z nieprawygo łoża pani Antanty. A no ochota by beła, jako co na takich psiokrew zjazdach trunkowość odchodzi morowo, wikt jezd galanty, kwatery pikne, zabawa sziroko, można se z brzanami podyrdać i pomoransować — a za nic chłopie nie płacisz, bo jezdeś gościem komitetu. Tak ci, jak pedam, ochotnych psiokrew nie brakuwało. Ino wzieni na strzymonie bez to, co na on zjazd wybirajom sie psiokrew w okrutnyj kupie Pepiczki, a bedom tyż i ukraińskie rezunie. Więc mogłaby być z onymi sufraganami psiokrew jawantura, bo ono psie nasienie korzystałoby psiokrew z nadarzonej sposobności coby pomstuwać na nas, puskać ćmoje o Sląsku Cieszyńskim, Spiszu, Wschodniej Galicyi. Gdyby ci nas beło na onym zjeździe ze sto chłopa, mocnygo w rękach i w gębie, toby można na jeich ujadania kazać sie jeim całować w pikoletę, ale że od nas psiokrew pojechałoby ino kilku chuderlawych, bez mocnygo ozora, a ino ze zdulnem do wilgoci gardłem, miętołów i źgacy, tobyśmy psiokrew mieli ino kompromiterunek. A choćby one skisie Pepiczki i hajdamaki nie skikali nam do oczu (w co psiokrew uwierzyć trudno), to i tak belibyśmy w okrutnie głupiem położyniu, jako że na takich psiokrew zjazdach wszyscy ćmić muszą co som siebie psiokrew wzaimnie kochające i muszą psiokrew z onyj miłości być sie obłapiające, pyska se dające i wrzeszczące: niech żyją bracia Słowianie! A tu jezd psiokrew taka miłość między słowianami, co Bułgar zahatrupiłby Syrba, Syrb Chorwata, Pepiczek dopiru co nas mordował, Słowaki ode Pepiczka jak od wściekłego psa są uciekające, a Ukraińce polskie dziecka zarzynały, patrejotów polskich rozstrzeliwały, żołnirzom polskim oczy wydłubywały, ręce i nogi łamały i bebechy z żywotów wypuskały...

Zacne, ślachetne, uczciwe som te bracia Słowiany!

A jednak nalazły sie psiokrew w Krakowie takie dwie szmaty, co swych rypryzyntantów na on zjazd wysłały. Jak ci we Wilnie przeszłygo tygodnia Uniwersytet polski otwierano, jak ci z całyj Polski na one narodowe święto kto mógł jechał, bo i pan Naczelnik i pan marszałek i księża biskupi, ministry, posły (nawyt witosowe i ignacowe), jednorały, literaty, redaktury, (z samyj Warsiawy kielkunastu) profesury luniwersytetu z Warsiawy, Lwowa, Krakowa, Poznanią, a nawyt pan Mickiewicz z Paryża, ba! nawyt delikaty francuskie, angielskie, estońskie i łotewskie — to w onym dniu wielkim Wilno nie uźrało ani jednygo redaktura abo chocia leportyra krakowskigo. Ale za to nie żałujom panowie wydawcy kieszyni, coby psiokrew wysłać rypryzyntantów na słowiański psiokrew zjazd szmaciarski, który nas tyle psiokrew obłazi co ziabę tabaka, abo rybę kalisony! Okrutne i mądre patrejoty som te panowie wydawcy. Do bani psiokrew z taką jeich mądrością i patrejotycznością.



KOMISJA DO ZWALCZANIA LICHWY

urodzona w r. 1918, po długiej kilkumiesięcznej chorobie, w której nie dawała znaku życia, opatrzona św. łapówkami oddała żydom ducha.

Wieczne odpoczywanie racz jej dać Rado miejska, a światłość paskarska niech jej świeci na wieki wieków — amen.

DOŚĆ SZOPEK.

Uroczyste obchody dzień w dzień urządzamy
I przy ołtarzu „wielkich“ wznosim kadzielnice,
A krew wciąż broczy ziemię, niepewne granice,
Niema chleba i węgla — śmierć zagląda w bramy.
. . . .
Nim ostatni z stodoły wyniesiemy snopek
Wejdźmy w siebie, zmądrzejmy — dość tych [pustych szopek!

SZYBKOŚĆ INFORMACJI.

Warszawski korespondent „Ill. Kurjera codz.“ doniósł telefonicznie w dniu 15. października niesłychanie ważną wiadomość, że paryski dziennik „Matin“ notuje przybycie do Paryża Achmeda Kadi szacha perskiego

Wiadomość ta uczyniłaby piorunujące wrażenie na politykach krakowskich perskiej orjentacji, gdyby nie to, że już 14. października w kawiarniach, klubach i redakcjach krakowskich znajdował się „Matin“ z daty „7 Octobre“, ozdo-

biony portretem czcigodnego szacha, który już w tym dniu robił oko (oczywiście „perskie“) do nadobnych Paryżanek.

OSTATNIE WIADOMOŚCI.

Prof. Sinko został mianowany panegirystą belwederskim.

Panowie „ziemianie“, potomkowie ś. p. Stańczyków, zaczynają wygłaszać mowy patryjotyczne. Czyby nie lepiej było, aby przez patrjotyzm zrzekli się uprawiania lichwy zbożowej?

PP. właściciele realności, mussilo-sznajdro-askenażyści zagrozili, że w razie niepodwojenia czynszów będą psuli dachy, kurki od wodociągów i t. d. Sąd kryminalny powiększy zatem liczbę swych klientów.

PRACOWNICY.

Pewnego razu pracownika szydła
Tak zapytała pracownica mydła:
„Jakże tam pańskie stoją interesy?
„Podobno miewasz przepełnienie kiesy“...
— Trudno się skarżyć — zapytan odrzecze —
Chociaż się czasem człek mało nie wściecze
Za dłużnikami zmuszon do gonitwy...
Winien mi hopy pan pracownik brzytwy,
Mam również kłopot z pracownikiem pióra.
— Znam ja ich dobrze, taka ich natura.
Jest jeden taki „piórny“ w magistracie
Pierę mu chustki, koszule i gacie
A ile winien, niech się pan nie pyta —
— Ach! ciężkie życie — westchnął mistrz kopyta.
A że od trunku ginie robak wszelki,
A miał sklep blisko pracownik butelki,
Poszli do niego na lampeczkę wina
Przysiadł się do nich pracownik komina
I tak we troje aż do późnej chwili,
Wszelakim trunkiem zgodnie się raczyli.
Za co pan szynkarz, na pieniądze łakom,
Czterysta koron zagarnął... biedakom.
Przykrym był powrót mydła pracownicy:
Widząc otwarte okna od ulicy
Wpadła do domu z krzykiem: „tam do licha
Skradł mi bieliznę pracownik wytrycha“.
A majster szydła, gdy wrócił o świcie,
Od pracownicy łoża dostał bicie.
O tych zaś smutnych libacji wynikach
Pracownik pióra dał wzmiankę w dziennikach.

DOBROWOLNE MĘKI.

I. U FRYZJERA.

Wchodzę do golarza, przepraszam, do salonu golenia i strzyżenia. Wita mnie miły chórek!

— Szano-anie panu! Całuję rączki!

Na zapytanie, czy długo będę musiał czekać, słyszę wszechstronne zapewnienia, że „jeden moment“. Siadam na kanapce pod ścianą i studjuję dzienniki. Mały „moment“ zamienia się na dobre pół godziny. Nareszcie uprzejmy baryton, zaprasza mnie pod lustro. Siadam.

— Golenie czy strzyżenie?

— Golenie.

Za mojemi plecami rozlega się jakiś trzask, w tej samej chwili fryzyer bierze mnie delikatnie za czoło i powoli lecz stanowczo przegina moją brodę w tył. Żyły mi pęcznieją, kręgi na szyi skrzypią, ale to nic. Nareszcie głowa moja zostaje przytwierdzona do podstawki. Fryzjer obleka mnie w białą śmiertelną koszulę i zakłada ręcznik pod szyję. Jestem zupełnie biały.

Zaczyna mi pendzlować twarz mydłem. Z pasyą urodzonego miłośnika piękna powleka mi policzki przy pomocy pendzla białym całunem mydła, niby burza śnieżna wierzchołki gór.

Ruchami godnymi Matejki, gestami zamaszystymi i dokładnymi zamienia całą moją twarz w jedną białą maskę. Mydło wchodzi mi do ust i zostawia smak przyjemny. Spora ilość dostaje się z brwi do oka i szczypie niemiłosiernie. Mój oprawca tryumfalnie odkłada pendzel, odstępuje o dwa kroki, mruży oczy i z miną znawcy przygląda się pejzażowi wymalowanemu na mej twarzy, poczem ujmuje znów pendzel i wprawną dłonią poprawia niektóre, nie dość subtelne linje. Następnie pyta słodkim głosem:

— Czy wąsy też?

Nie mogę mówić, gdyż mam usta pełne mydła, kiwam więc tylko potakująco głową.

Miejsce pod nosem wymaga już pracy nie malarskiej, lecz rzeźbiarskiej, artysta przeto zgarnia palcami mydło z pendzelka i stanowczym ruchem nakłada mi je na górną wargę.

Nareszcie jestem dostatecznie biały. Artysta znika.

Słyszę z kąta jakieś miarowe klapsy, przypominające jednostajne uderzenia ręki o twarz. To ostrzenie brzytwy, Po chwili fryzjer wraca, ale jakże się zmienił. Wyraz twarzy stanowczy, skoncentrowany i bezwzględny. Tak musiał wyglądać Hektor na pięć minut przed pojedynkiem z Achillesem. W ręku trzyma wprawdzie nie miecz i tarczę, ale brzytwę i kawałek papieru.

— Przepraszam! — to znaczy, abym przechylił głowę na bok. Lekkim a ostrożnym ruchem pantery fryzjer dopada do moich policzków i rozpoczyna po nich pląsy brzytwą, każdym ruchem zgarniając masy śniegu z mej twarzy. Ruchy stają się coraz szybsze. Artysta wpada w trans. Brzytwa opada niespodziewanie to na policzek, to na podbródek. Artysta już mnie nie przeprasza, ale dowolnie kręci mą głową na wszystkie strony. Dech mi zamiera w piersiach. Brzytwa złowrogo błyska przed oczami. Źrenice fryzjera błyszczą krwiożerczo, niby oko ludożercy z wysp Oceanji.

Wśród tego artysta wygłasza swe poglądy na sytuację polityczną i paskarstwo, gromi magistrat za aprowizację, okazuje się stanowczym

ROZBROJENIE SZEFA STRAŻY OBYWATELSKIEJ.



Gabryelski. Poddaję się wyrokom świetnej miasta Rady
I wręczam tobie, Sare, ostrze mojej szpady.
Wy zaś, Federowiczu i Bandrowski drodzy,
Weźcie mą tarczę, zbroję i złote ostrogi.
Ja, jak drugi Cyncynnat, co wracał do pługa,
Wracam do Melpomeny, która na mnie mruga.

---

zwolennikiem reformy rolnej i wprowadzenia nowej waluty.

Nagle czuję ból w podbródku — widzę krew. To brzytwa zwrócona pod ostrzejszym kątem zadrasnęła mnie. Ludożerca jest zadowolony, ale maskuje to spokojem, zmywa kropelki krwi. Duży kawał ałunu umoczony w wodzie ślizga się po mojej twarzy, szczypie niemiłosiernie, a przechodząc nad miejscem zadraśniętem, zatrzymuje się na niem dłużej i piecze, jak rozpalone żelazo. Następnie mój oprawca bierze flakon z jakimś podejrzanym płynem i pyta:

— Czy całą twarz skropić, czy tylko „golone miejsca"?

Odpowiadam, że tylko „golone miejsca", wskutek czego mam całą twarz oblaną ową zieloną wodą o niemiłym zapachu. Najsilniej jednak zalane są oczy, jako zupełnie niegolone.

Następuje otarcie ręcznikiem i zapytanie, czy „pozwolę pudru". Po chwili mam twarz starego młynarza, który wpadł głową na dół do worka z mąką.

Fryzjer ściera mi puder z twarzy, dotyka z lekka grzebieniem mojej czupryny, zdejmuje

ze mnie fartuch i z wdzięcznym uśmiechem powiada:

— Służę panu — to znaczy, że mam zapłacić.

Czynię to. Trzy korony składam za operację i krwi puszczenie.

Fryzjer wraz z jakimś wyrostkiem czyszczą mnie tak starannie, jakgdybym dopiero co powstał z kałuży. Wyrostek podaje mi kapelusz i palto, oraz rękę po napiwek. Wychodzę.

Żegna mnie ten sam dyskretny chórek: „Szano-anie panu“ i „całuję rączki“.

BABA I POLITYKA.

Miast kurczęta hodować
Przyszywać guziki,
Zachciało się na starość
Babie polityki!
I z dwiema kumoszkami
Sądząc, że świat zbawi,
W nominacye ministrów
Przy kawie się bawi.
„Co też po psie w kościele!“
Powiada przysłowie
„Po babie w polityce“
Wnet ono dopowie!

NAOKOŁO ŚMIERDZI.

W teatrze czy w kawiarni
Gości całe tłumy,
Od których się rozchodzą
„Neutralne“ perfumy.
Śledź, czosnek i cebula,
W takiej dzisiaj cenie,
Tutaj całkiem zadarmo
Drażnią powonienie!
Miał racyę Przybyszewski,
Gdy w odczycie twierdzi,
Że tu u nas w Krakowie
„Naokoło śmierdzi!“...

OGŁOSZENIA URZĘDOWE.

Ze względu na zaprowadzenie czasu letniego Biuro rozdawnictwa kartek na pobór węgli nie będzie ich nadal wydawać.

Dotychczasowi posiadacze kartek, o ile ich jeszcze nie zrealizowali, mogą je zatrzymać na rok przyszły lub za ich okazaniem zakupić za gotówkę bilety do miejskiego teatru.

Zważywszy, że wszelkie artykuły podniosły się w sposób wprost przerażający, widzi się Zarząd wodociągów miejskich zmuszonym do nałożenia opłaty dodatkowej po pięć koron miesięcznie od każdego kurka wodociągowego, ponieważ zbadanem zostało urzędowo, że choć często nie dostarczają one wody, wydają natomiast tak miłe głosy, że mogą zupełnie zastąpić arystony, gramofony i inne instrumenty muzyczne.

Ośmiogodzinny dzień pracy.

Na wsi.

— Wojtek, ty próżniaku!... Już świta, a ty jeszcze śpisz!... Czas zaprzęgać i jechać w pole!

— Ani mi się śni!... Jak pojadę o ósmej to wystarczy!... Na zgromadzeniu powiedział mi delegat, że mamy robić ino od ósmej do dwunastej i od drugiej do szóstej!... Musi mi pan kupić zegarek, abym wiedział, która godzina, bo słońce teraz jakoś mykeci!

— Czyś zwaryował?... I ty myślisz, że ja ci będę płacił i dam jeść, a ty będziesz leżał do góry brzuchem?...

— No! no!... Niech pan ino tak nie mądruje, bo już wasze rządy się skończyły!... Teraz my są panowie!... Jak zostanę dziedzicem to pana przyjmę na ekonoma!... Ale u mnie trza będzie pracować od świtu, aż do późnego wieczoru...

W mieście.

— Kasiu!... Nakrywaj do obiadu!... Pan nadejdzie lada chwila, a czekać nie lubi!

— A cóż mie to obchodzi!... Już po dwunastej, a ja od dwunastej do drugiej mam mieć wolne!... Niech sobie pani sama nakryje!... Proszę i mnie podać obiad, bo ja się ani krokiem z miejsca nie ruszę...

— Dobrze, moja Kasiu!... Ale się nie gniewaj, bo ci to gotowo jeszcze zaszkodzić!...

— Ja już jestem chora!... W tej dziadowskiej służbie, za te marne dwie setki miesięcznie sterał człek całkiem zdrowie!... Zapowiadam, że na drugi tydzień wyjeżdżam na dwa tygodnie do Zakopanego. — W tych murach miejskich można zdechnąć!...

STRAŻ OBYWATELSKA.

W kwiecie wieku, w życiu krasie
Dziś spoczęła w zimnym grobie,
Pamiętała w każdym razie,
Lecz najbardziej, to o sobie.
Więc też słychać głosy wszędzie:
„Niech jej ziemia lekką będzie!“

I TO PRAWDA!

Raz pewnego pigularza
Ktoś zapytał się w pokorze,
Czy też ten lek wychwalany
Pacyentowi co pomoże?
A on na to z odpowiedzią
Ani chwili się nie leni:
„Jeżeli nie pacyentowi,
W każdym razie mej kieszeni!“

XV LIST KACPRA KRUPY
WSPÓŁPRACOWNIKA „DJABŁA“ z WASZYNGTONU.

Waszyngton, w Październiku 1919.

Wielebna Redakcyo!

Strasznie mnie tu w Waszyngtonie męczą. Rozeszła się po całej Ameryce wiadomość, że jestem kawalerem krakowskiej marki ewakuacyjnej Nr. 19909 i mają mnie za szlachcica. Ponieważ zaś wszystkie Amerykanki okropnie chciwe są na szlachectwa, otrzymuję tysiące listów od panien, rozwódek i wdów z zapytaniem, czy ożenię się? Starają się o moją rękę nawet murzynki. Musiałem nająć osobnego sekretarza, który dzień i noc jest zajęty odpisywaniem na te listy. Reporterzy różnych gazet formalnie mnie oblegają i nawet zjawiają się tam, gdzie wedle odwiecznego zwyczaju człowiek lubi siedzieć samotnie. Żądają odemnie różnych wyjaśnień i tak: Czy rozchodzi się nam o Galicyę wschodnią, która leży w Hiszpanii, czy też o jaką inną Galicyę wschodnią? Czy prawdą jest, że Rusinów poznaje się po tem, że mają czarne podniebienie? Czy w Polsce dzieci rosną z góry na dół, czy też z dołu do góry? Czy fornale u nas są taką samą kastą uprzywilejowaną jak samuraje w Japonii? Ilu w Krakowie zamordowano żydów i ilu jeszcze pozostało? Czy ludność Krakowa pali zamiast tytoniu słomę ze starych sienników? Czy najuczciwszymi ludźmi u nas są rzeźnicy, a najuprzejmiejszymi kupcy i przekupki? Czy składanie śmieci na rynku i dworcu kolei żelaznej jest staropolskim zwyczajem? Na tego rodzaju pytania muszę odpowiadać i dawać stosowne wyjaśnienia.

Co się zaś tyczy Waszyngtonu, to zauważyć muszę, że jest tu prawie tyle kościołów co w Krakowie. Z powodu zaś tego, że pomimo, że pomnik Kościuszki jest już dawno gotowy, ale nie możemy zdobyć się na jego wystawienie, nie potrzebujemy robić sobie wyrzutów, bo i w Waszyngtonie pomnik dla Waszyngtona rozpoczęto stawiać w roku 1848, a dopiero w roku 1885 go postawiono i poświęcono.

Do prezydenta Wilsona jeszcze nie mogłem się dostać, bo Dr. Crayson, który go leczy, zabronił wszelkich odwiedzin. Z drugiego tylko pokoju widziałem, że prezydent Wilson leży pod pierzyną, z pod której widać tylko jego nos. Ma silną gorączkę i bezustannie powtarza te same słowa: Spisz, Orawa, Śląsk, Galicya wschodnia, Spisz, Orawa, Śląsk.... i tak bez końca. Mam nadzieję, że za parę dni, gdy gorączka ustąpi, będę mógł widzieć się z prezydentem Wilsonem i nie omieszkam o tych odwiedzinach bezwłocznie donieść.

Sługa

Kacper Krupa

Kawaler krakowskiej marki ewakuacyjnej Nr 19 909.

MONOLOG SZMAJGELESA.

Strasznie źle się teraz dżeje —
Wybucha strejk kartoflany —
Bardzo słabe są nadzieje,
Że un będzie zażegnany.
A jak ziemniaków nie stanie,
Nie budzie czem napchać brzuchy,
Zacznie się krepirowanie,
Zginiemy jak głodne muchy!
Miliardy długów mamy —
Dochodów nie bardzo wiele —
Mnie sze zdaje, że zdążamy
Do okropnego benkele!
Mój żołądek już wzruszany
Jest na takie okropnoszczi,
A jak słycham porcelany
Import wzbroniony w przyszłoszczi!
Nawet przyszła już kometa,
Co nie bardzo ziemię lubi,
Bo mówią, że ta planeta
W sposób brzydki ziemię zgubi.
Lecz może od złego sziła
Ziemia budzie ocalona,
Bo kumeta się zjawiła
Tylko z głowem bez ogona.
A ogón jest w każdym względzie
Kumecie potrzebnym przecie,
Bo czem wymachiwać będzie?
Bo czem całą ziemię zmiecie?

ON I ONA.

Ona była młodą, przystojną, bezdzietną żoną starego dyrektora banku. On był przystojnym, młodym, stanu wolnego adwokatem. Poznali się w czasie sezonu kąpielowego w Krynicy i ..... pokochali. Miłość ich była gorąca i szczera, ale tylko platoniczna. Kto zna Krynicę, temu się dziwić nie będzie, bo tam wszelkie gwałtowne objawy miłości, o ile nie są ślubem małżeńskim uświęcone, spotykają się z takiem potępieniem. na które żadna mężatka narażać się nie chce. Zrealizować zatem swoje uczucia postanowili w innym czasie i innem miejscu On był zmuszony przed ukończeniem sezonu z Krynicy wyjechać. Pożegnanie ich było bardzo serdeczne. Ona pozostała. Nie tęskniła za ogniskiem domowem, gdzie ją oczekiwał stary mąż, ale że w Krynicy po skończeniu sezonu, przebywać nie jest wskazanem, także wyjechała i wróciła do domu. Wróciwszy do domu, otrzymała od adwokata telegram: „Proszę jutro rannym pociągiem przybyć — wieczornym możesz pani powrócić.“ Oglądała blankiet telegraficzny ze wszystkich stron, długo nad nim się zastanawiała, aż wreszcie go podarła na strzępki. Po upływie kilku dni otrzymała od adwokata bardzo długi list, pełen wyrazów miłości ale i rozpaczy. Stanęła z listem przy oknie, odczytywała go kilkadziesiąt razy, oglądała dokładnie kopertę... podpis... ale i ten list na który nie odpowiedziała,

podarła i kawałki za okno wyrzuciła. W kilka dni później doręczono jej znów list adwokata, którego treść tchnęła wyrazem boleści i w którym było pełno gorzkich wyrzutów. Adwokat pomiędzy innemi pisał: „Jestem pogrążony w rozpaczy! Nie wiem, co mam począć! Zachowanie się pani jest dla mnie zagadką! Proszę chociaż o jedno słowo! O jaki znak życia!“ Po przeczytaniu tego listu, była silnie wzruszoną, płakała, list całowała i tuliła do piersi. Całą noc oka nie zmrużyła. Chodziła jak błędna, ale i tym razem na list nie odpisała. Pomału dopiero odzyskała równowagę umysłu i uspokoiła się. Minęły lata. Zestarzała się. Po długim czasie przypadek zrządził, że znów w Krynicy spotkała adwokata. On jeszcze wciąż boleśnie dotknięty jej zachowaniem się, zbliżywszy się do niej pytał: „Niech mi pani wyjaśni, dlaczego na moje usilne prośby nie raczyłaś mi chociaż słówkiem odpowiedzieć? Tego postępowania pani zrozumieć nie mogę.“ Ona z uśmiechem na ustach odpowiedziała: „Bóg mi świadkiem, że nie było to moją winą! Kto wie, coby się stało, gdyby... „Cóż takiego? Nic nie rozumiem!“ — „Ha, dlatego nie odpowiedziałam, bo nie wiedziałam w jakiem pan mieście mieszka, a pan ani w telegramie, ani w żadnym z listów nie podał swego miejsca zamieszkania.

Co życie niesie?

(Konstytucya. — 10 miliardów długów. — Nowe podatki. — Księga autografów posłów sejmowych.

Że sejm dotychczas nie uchwalił konstytucyi, o to się nie martwię, bo czy będzie, czy nie będzie uchwaloną, nie ma nadziei, aby mąka, ziemniaki, mięso i inne wiktuały potaniały. A, cóż mi z konstytucyi, jeżeli bułka kosztuje koronę, a kilo mięsa 20 koron? Jestem natomiast bardzo zachwycony mową ministra p. Bilińskiego, bo była to w sejmie, że się tak wyrażę, pierwsza mowa, która miała głowę i nogi. Z przemówienia p. Bilińskiego dowiedzieliśmy się, że nasza waluta będzie uregulowaną i że znikną wstrętne korony, których w Szwajcaryi używają jako etykiety na flaszki od piwa, bo są tańsze aniżeli w tym celu drukowane etykiety... Gdyby jeszcze dłużej zwlekano z uregulowaniem waluty, to bezwątpienia używanoby koron jeszcze do czegoś gorszego aniżeli do etykiet na flaszki od piwa. Nareszcie z przemówienia p. Bilińskiego dowiedzieliśmy się także, że mamy 10 miliardów długów, co naturalnie każdemu prawemu obywatelowi państwa sprawia niekłamaną radość. Te 10 miliardów świadczą bowiem o tem, że jesteśmy narodem żywotnym i że mamy zaufanie u zagranicy. Wszak temu do którego niema się zaufania, nikt nic nie pożyczy, a nam pożyczono 10 miliardów... Pan Biliński pewnie wymyśli jakieś nowe pośrednie, lub bezpośrednie podatki, aby można za lat pięćdziesiąt albo sto te 10 miliardów spłacić i potomność na nas nie narzekała. Zresztą chociażby parę miliardów pozostało dla potomności do spłacenia, to byłoby nawet bardzo wskazanem, bo by wiedziała, że odzyskanie wolności nie było tanie. Dużo u nas rzeczy jest jeszcze nie opodatkowanych i p. Biliński nie będzie w kłopocie, co opodatkować, aby dług 10-cio miliardowy spłacić. Ja radziłbym, aby opodatkowano: panie, które ku ogólnemu zgorszeniu, nie mając prawie łydek, noszą spodnice sięgające zaledwie poniżej kolan, a suknie wycięte z przodu po pępek, z tyłu zaś po pas; tych, co nie umiejąc malować, malują; koty, kanarki, papugi i małpy; fortepiany i inne instrumenta; chustki do nosa, których wielu z naszych posłów, dając dobry przykład, nie używa i które są niepotrzebnym zbytkiem, a dopiero niedawno zostały zaprowadzone. Wysokim podatkiem obłożyłbym także puder i wszelakie toaletowe smarowidła. Nałożywszy te i tem podobne podatki, nie będzie trudno długi spłacić. Aby obciążyć skarb państwa, można by też zabrać się do emerytów, którzy obciążają skarb milionami. Można by im, po wręczeniu odpowiedniej ilości trucizny na szczury, z łagodnością, ale stanowczo zalecić, aby się otruli, a jestem silnie o tem przekonany, że jako prawi obywatele państwa, chętnie to uczynią. Bo cóż takiemu emerytowi, który nic nie robi, może na tem zależeć, że zje kilka obiadów mniej lub więcej, a trując się, przyczyni się w wysokim stopniu do uzdrowienia finansów. Zwyczaj trucia się emerytów jest nawet na wyspie Celebes, od dawna praktykowany i cieszy się wielką popularnością. Wobec tego wszystkiego jest uzasadniona nadzieja, że długi spłacimy i że p. Biliński całkiem słusznie powiedział, że sytuacya nie jest rozpaczliwą.

Oprócz mowy p. Bilińskiego sprawiła mi radość wiadomość z Warszawy, że sejm postanowił wydać na korzyść ubogich dzieci Warszawy księgę autografów wszystkich posłów sejmowych. Będzie to ładne dzieło. Wprawdzie posłom, dla których sztuka pisania jest obcą rzeczą, będzie to sprawiać pewne niedogodności, ale aby się nie wyłączać, będą mogli uwieczniać się znakiem krzyża, albo jak się to czyni przy daktyloskopii, maczać rękę w atramencie i przykładać na arkusz papieru Nie braknie też w tem dziele różnych aforyzmów. Niektórzy posłowie takie aforyzmy już nadesłali. I tak minister Paderewski podał: Łatwiej jest grać na fortepianie, niż na ludziach. Poseł Ignacy: Hańba, hańba i jeszcze raz hańba! Poseł X. Okoń: Jestem okoniem i kwita. Poseł Jan Kanty: Mam handel win. Po zaprowadzeniu wodociągów, w mojej piwnicy znajduje się wodociąg. Interes idzie świetnie. Pani Moraczewska: Kościół głosi: „mulier tacet in eclesia.“ My kobiety stosujemy tę zasadę także w sejmie.

Resztę aforyzmów podam później.

T. S. K.

!! SUBSKRYBUJCIE POLSKĄ POŻYCZKĘ !!

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Władysław Borkowski. Drukarnia E. i Dra K. Koziańskich w Krakowie.